

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 6 listopada 1920 roku.

Nr 45.

ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ.

17)

PIĄTE KOŁO.

— Trudno. Ja nie potrafię rozmawiać tak ładnie w salonie z panienkami, jak ty.

— Naturalnie—strofował go po ojcowsku Pawełek — konkury w restauracyjnych gabinetach są krótsze.

— Nie gderaj, stary! — wziął przyjaciela pod ramię Jurek i począł mu pocziwie rozpowiadać o przyszłych planach. Był jaknajlepszych myśli. Plany jego uskuteczniają się.

Rozmawiał już z właścicielem upatrzonego placu na Woli. (Poznał go u pewnej dość płochej damy). Ma nadzieję, że w najbliższym już czasie pojedzie z nim do rejenta dla podpisania ostatecznego aktu umowy.

— Spotkałem dziś u Norkowskiego czy wiesz kogo? Szmita. Nie pamiętasz tego starego inżyniera, który pracował ongi w fabryce ojca? Udzielił mi wielu bajecznych informacji. A ty nic nie działasz od czasu, kiedy zostałeś bawidamkiem. To ty raczej jesteś Sino-brodym i wietrznikiem. Słowo daję.

Lecz okazało się, że Jurek się mylił, bo i Pawełek czasu nie tracił. Dyrektor zapewnił mu spory kredyt w banku. A naczelnik i kilku stałych klientów Pawełka zdecydowało się na udziały w akcjach.

Teraz chodziło jeszcze o pozyskanie starego Wtorkowskiego.

— Trzeba będzie ewentualnie udać się do Anglii i do Francji dla zaznajomienia się z ulepszeniami produkcji i wybrać się w głąb Rosji dla rozpatrzenia się w stosunkach zbytu. A potem w krótkim czasie pojedziemy już całą siłą pary.

Akcjonariusze muszą zaraz na pierwszym posiedzeniu obrać Jurka na stanowisko naczelnego inżyniera fabrycznego, a Pawełek zostanie biurowo-handlowym dyrektorem To-

warzystwa. Poza pensją i tantjema-mi muszą obaj otrzymać zagwarantowaną liczbę akcji.

Odchodzili już kilkakrotnie od bram swoich mieszkań i, niezmordowani dyskusją — tułali się po ciemnych zaułkach miasta prawie aż do świtu. Wreszcie na odchodnym rzucili się sobie w objęcia.

— Zobaczysz, stary — całował go w same usta Jurek — wszystko pójdzie nam już teraz, jak po maśle.

I zupełnie udobruchany i przejęty milczącym Pawełkiem zniknął wreszcie za, ryglowaną przez stróża, bramą zamieszkiwanej kamienicy.

Po upływie kilku dni dwaj przyjaciele zwierzały się sobie wzajemnie z otrzymania drukowanych zaproszeń na wieczór tańczący do Wtorkowskich. Wieczór ten odbył się wspaniale: z mnóstwem jarzących świec u żyrandola, z kobietami w jasnych dekolowanych sukniach, z młodzieżą we frakach, z majonezami, indykami, lodami, jak się patrzy! Pawełek był rozczarowany, stwierdziwszy na balu nieobecność panny Lilki. Tłumaczono, że jest niezdrową, lecz widząc jego zaniepokojenie z tego powodu, oświadczono poufnie, że właściwie nie chciała pojawić się w starej tualecie, a nowej na raz jeden nie było warto sprawiać.

Zato panna Lola, która wystąpiła, pomimo zakazu ojca nie według jego życzeń w sukni różowej, lecz w błado niebieskiej — jaśniała całą strojnością szykownej warszawianki, potrafiącej wdziękiem młodości latać niektóre błędy natury.

Pawełek, zaszepiony przypatrywał się przez cały wieczór tańczącym. Śród młodzieży wyróżniał się sztykiem i urodą prowadzący po mistrzowsku tańce Jurek, jak ulany w swoim fraku, uwydatniającym har-

monijność jego kształtnych proporcji. Jak tryumfujący bożek lśnił cały od dekoracji kotyljonowych, które usiane były całe piersi zwycięzcy. Hołdy wdzięcznych prowadzono tancerek.

Zwracało ogólną uwagę plotkarczy, iż Jurek tańczy przeważnie z córką domu, która z przymkniętymi oczami i rozchyłonymi wargami tuli się bardziej, niż wypadało, do zwycięskich objęć swego tancerza.

Nad ranem kiedy przy białym mazurze, (tańczono go przy zgaszonych już świecach o świcie, wkradającym się z okien z podniesionymi już roletami) — senny Pawełek sunął dyskretnie ku kontramarkarni wśród służby, uwijającej się z sensacyjnym rannym bigosem i barszczem — dostrzegł naraz flagrant délit: oto w cieni różowych abażurów ustronnego buduaru upojona dźwiękiem mazura — panna Lola tonie w nieprzytomnych pocałunkach obejmującego ją w ramionach Jurka.

Pawełek niepostrzeżenie wymknął się do domu. Czuł niesmak złota, kłamstwa i złości tłumu, o który nie sposób w życiu się nie ocierać. Byłby najchętniej wyrzekł się tej zainicjowanej kariery. Lecz wstydził się sam przed sobą swego dziwactwa. Bo życie — to ustawiczna masowa ugoda z nietrafiającymi nam do przekonania faktami, na które rady niema.

Nazajutrz po balu panna Lola, zupełnie niezważając już, czy sprawi tą sensacją przyjemność komukolwiek, czy zawód — wskazała tryumfującą matce swoją rękę, na której lśnił maleńki pierścionek ongi pani Romy, a ostatnio Jurka.

— Co to znaczy? — pobladła pani Wtorkowska.

— To znaczy, że zamieniliśmy się wczoraj z panem Jurkiem pierścionkami. Przyjdzie tu dziś prosić was oficjalnie o moją rękę.

— Wobec tego, żeś sama już bez nas postanowiła — zadrżała matka, nie wiedząc, czy martwić się,

czy radować tym zadecydowanym faktem — nie pozostaje mi nic innego jak błogosławić cię, moje dziecko. Bo chodzi tu jedynie o twoje szczęście. Lecz znasz upór ojca — kabotynizowała swoim zwykłym parawanem, zapomniawszy o dawnym twierdzeniu, że to właśnie mąż jest zwolennikiem tego małżeństwa.

Panna Lola pogardliwie wzruszyła ramionami i w najlepszym nastroju zakończyła rozmowę starym conceptem, jakim dzieci częstują rodziców:

— Nie wtrącałam się do waszego małżeństwa, mam więc nadzieję, że i wy mnie tych bezcelowych ceregieli oszczędzicie.

Lecz z przyjściem Jurka zapanaowała w całym domu atmosfera radosna. Stara Wtorkowska bardzo wzruszona wyciągnęła do niego ramiona. A kiedy zwyczajem operetkowych teściowych przytuliła się do objęć Jurka trochę silniej, niż należało i przyszły zięć poklepał ją po ramieniu i pocałował w czoło — stara rozplakała się z wrażeniem, że to ona jest oblubienicą.

Tylko papa Wtorkowski, niezwykle jakoś małowówny, a nawet kwaśny wywiązywał się niefortunnie z narzuconej mu przez żonę roli „zakochanego w swoim przyszłym zięciu”. Aż stara wybuchła poza wachlarzem.

— Przecież sam chciałeś tego małżeństwa, a teraz, kiedy klamka już zapadła, masz minę jak gdybyś się napił octu siedmiu złodziei.

Stary machnął tylko ręką.

Wtorkowska wybrała u Jarockiego najkosztowniejszy sygnet, który miała wręczyć Jurkowi narzeczona. Zauważone też w wystawowym tapicerskim oknie wyjątkowo piękne urządzenie gabinetu przeznaczyła w swoich projektach dla ukochanego... zięcia. Przemyśliwała w jaki sposób nakłonić męża, aby oddał Jurkowi swój niezwykle piękny zegarek.

Była zupełnie niezdolną do grania komedji niezadowolonia. Tak promieniała ze szczęścia, że Jurek wstępuje do jej rodziny. Jeszcze nigdy nie panowała pomiędzy matką a córką taka harmonja. Aż w końcu i stary począł w tej sugiestji kabotynizować tryumf quasi swojej własnej despotycznej woli w kwestji wyboru quasi pożądanego przez niego zięcia.

Z piwnicy przyniesiono ostatnie trzy butelki szampana, którego całe domowe zapasy wczorajsi balowi goście nie zdołali w siebie wchłonąć. Oczekiwano jeszcze wtajemniczonego już w ten radosny — ewene-

ment Pawełka, wyszydając jego znaczący smutek z powodu nieobecności na balu pewnej damy...

Jurek wyraził zdziwienie, iż bywając już tak długo w domu Wtorkowskich, nie miał dotąd nigdy okazji spotkania tej kuzynki narzeczonej, a ewentualnej może żony kogoś bardzo mu bliskiego.

— Czy pan nie zna Lilki? — bała narzeczonego z niepokojem panna Lola.

— Skąd? Nie widziałem jej nigdy w życiu — odrzekł, jak przed księdzem.

— Mężczyźni demaskują się trudniej od kobiet — pomyślała panna Lola i wnet poczęła go badać — Czy jest pan tego pewnym?

— Najpewniejszym proszę pana sędziego śledczego — roześmiał się swoim ujmującym naturalnym śmiechem Jurek.

— Może mi pan dać na to słowo honoru?

— Dwa słowa honoru. Dziesięć słów, całą furę słów honoru — upewniał ostatecznie narzeczoną.

Pani Wtorkowska poczęła tłumaczyć Jurkowi, że choć Lilka jest najzaczniejszą dziewczyną, „mój mąż nie lubi jej sposobu zachowania się w towarzystwie młodych mężczyzn”. Bo Lilka posiada w swoim obejściu nieco cygaństwa odziedziczonego po ojcu ex-barytonie.

Panna Lola solidaryzowała swym milczeniem z oskarżeniami matki.

— A jednak na różne herbatki z Pawełkiem zapraszały ją panie — żarcikował Jurek.

— No, poczywy pan Pawełek — to zupełnie co innego. Zresztą — to przecież kandydat na konkurenta.

W trakcie, kiedy ją obmawiano, zjawiła się naraz w salonie nieoczekiwana i nieproszona panna Lilka, prześliczna w swojej tanagrowej postaci z kształtną złotą główką, z regularnym noskiem i z buzią wielkości piastki, jak na portretach szkoły francuskiej z XVIII wieku.

Matka z córką obrzuciły się groźnemi spojrzeniami, z rezygnacją: Ha! trudno, niema rady!

— Co za miła niespodzianka! Pozwolisz sobie przedstawić: to mój narzeczony.

Panna Lilka, spojrzawszy na bohatera dnia — naraz najnieoczekiwanej poczerwieniała, jak piwonja.

Aż zdziwiło to nawet niezbyt skromnego od natury Jurka, tryumfującego w głębi z powodu tej łatwej ostatniej widocznej konkiety. Bo nie kłamał swojej narzeczonej.

Nie znał faktycznie panny Lilki Ferrani i nigdy w życiu nie był jej przedstawiony.

Lecz pana Lilka znała doskonale od wielu lat pięknego sztubaczka z widzenia, z nazwiska, nawet ze zdrobniałego imienia: Jureczek.

16-o letni Jurek Szałowski w zielonym mundurku ze złotymi guzikami! To był pierwszy platoniczny romans panny Lilki. W dzieje tej miłości były wtajemniczone wszystkie koleżanki w czasach, kiedy gęsim sznurem sunęły po trotuarach Warszawy.

Kilkakrotnie dzięki jemu — Lilla Ferrani otrzymywała złe stopnie ze sprawowania z powodu niedyskretnego oglądania się za nim na tych gremjalnych ulicznych spacerach. Posiadała też jego fotografię w sztubackim mundurku, otrzymaną od córki lekarza, bywającego ongi w domu pani Romy na Królewskiej. Fotografia ta bywała nieraz cała mokra od łez i pocałunków zakochanej pensjonarki, w której włoska krew nie darmo płynęła.

Kiedy pensja spotykała Jurka na ulicy — koleżanki wiedziały już zgóry, że Lilka zostawi pół talerza cienkiego obiadowego barszczu i nie tknie siekanego kotleta na talerzu.

Kochała go. Uczucie to nie zmniejszyło się wcale, kiedy przestała być podlotkiem. Przeciwnie! Jakaś niezwykła jej naturze nieśmiałość zmuszała ją niewolniczo do coraz większej bierności w stosunku do niego. Unikała go. Nie chciała, aby był jej przedstawionym. Przestała chodzić ulicami, na których twierdzono, że go się tam spotyka. Czła do niego żal, że prześlepiał jej uczucia; poprostu nie zauważył jej. A przecież uroda jej zwracała uwagę tylu obojętnych jej mężczyzn!

Prawda, że kiedy tylko Jurka na ulicy dostrzegła, nie tylko on bywał zaabsorbowany, lecz i ona nieprzytomna opuszczała lub odwracała głowę.

Przecież nawet w sztubackich czasach wieść o jej romansie powinna była dojść do niego. Pojmowała doskonale powód tej jego oziebłości. On nie był nigdy zakochanym platonicznie podlotkiem. Nie miał nigdy czasu na romanse z pensjonarkami. Odrazu stał się mężczyzną, którego interesują kobiety, cyrkówki i... mężatki.

Dalszy ciąg nastąpi.



Tajemnica Rodu Koenigsmarków.

24)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

— To ty pani! ty! wykrzyknął z radością, poznawszy wielką księżną. — Ach! jakżem się przeląkł! Jakże jestem szczęśliwy!

I całował jej ręce z uniesieniem.

— Przepraszam, przepraszam — belkotał zwracając się do mnie.

— Zostań pan tu — zawołałem. I pędem wbiegłem do sali przyjęć!

— Gdzie on idzie? — krzyknęła Aurora. — Zatrzymaj go.

Byłem już daleko. Przebiegłszy salę przyjęć dostałem się do prawej części zamku.

Pałła się lewa; biblioteka i oczywiście zbrojownia.

Gdzie biegłem? Sam dobrze nie wiedziałem. Pchała mnie jakaś niewidzialna siła.

Później starałem się zanalizować mój postępek. W moim pokoju miałem pieniądze, papiery, kilka listów mojej nieboszczki matki, słowem wszystko, a jednak jestem pewny, że ani na chwilę nie miałem wrażenia, że to dla tego narażam się w ten sposób.

W korytarzu pierwszego piętra na końcu którego były drzwi wiodące do moich pokojów przewalały się kłęby dymu, usiane czerwonymi iskierkami.

Tu rozminąłem się z Kesselem.

Usłyszałem, jak krzyczał za mną:

— Gdzie pan idziesz? Schody się już zajmują. Korytarz w płomieniach.

Byłem już daleko.

Zdjąłem kamizelkę i owinąłem nią sobie głowę. Jak dopadłem do drzwi mego pokoju? Nie wiem. Pamiętam tylko, że dotknięcie zamku sparzyło mi palce.

Napróżno usiłowałem go otworzyć. Klucz obracał się normalnie. Ale drzwi stawiały opór.

Wówczas spostrzegłem ogromną sztabę żelazną, wkręconą przez pół we drzwi a przez pół w ścianę.

— A! wymówiłem — a okna wychodzą na wąwóz Melny.

Nie drżałem już. Pojąłem. Wiedziałem, co chciałem wiedzieć!

— A! moi księżę! Myślałeś, że jestem jeszcze u siebie, nieprawdaż?

Wszystko to trwało może minutę. Gdy mój stawał nogę na ostatnim stopniu schodów rozległ się straszliwy trzask. Cała górna część schodów i korytarz runęły.

Kiedym dotarł do wielkiej księżny, jak błędny, z osmalonemi włosami, liczne gromadki potworzyły się już w parku. Obok Aurory i Hagena stał jakiś wysoki mężczyzna. Był to wielki książe.

— Pan Vignertel! — zawołał z radością ujrzawszy mnie. — Jakiż ciężar spadł mi z serca. Wracasz pan nam z daleka!

— Z bardzo daleka w istocie, moi księżę! — odpowiedziałem, chwiejąc się na nogach.

— Podtrzymaj go — rzekła Aurora do Hagena.

I czerwony huzarek usłuchał.

— Baczość! — krzyknął nagle wielki książe. — Oto, czego się lekłem...

I pociągając za sobą żonę odskoczył w tył o jakieś dziesięć metrów. Wszyscy poszli za jego przykładem.

Olbrzymi liljowo złoty płomień wzniósł się ku czerwonemu niebu. Poczem nastąpił straszliwy wybuch. Ujrzelśmy jak ściany zamku rozstępują się, chwieją i zapadają w dół z trzaskiem.

Dokoła nas spadł istny deszcz szczątków wszelkiego rodzaju; dańcówek, gipsatur, kawałków płonących belek.

Jedna z nich dosięgła kapitana Müllera, który się niebacznie przysunął do ognia. Padł z zakrwawioną głową.

To laboratorium profesora Cyrusa Becka wyleciało w powietrze.

Straż ogniowa, przybywszy niezwłocznie usiłowała umiejscowić pożar. Z tyłu, na honorowym dziedzińcu słychać było głuchy tupot wojsk garnizonowych, nadbiegających pędem.

O pierwszej opanowano ogień. O wpół do drugiej można było zacząć wydobywać pierwsze trupy. Około drugiej niebo zaczęło barwić się zlekka żółtawym odblaskiem. Jutrzenka wstawała zwolna.

W tej samej chwili czterech żołnierzy niosących śmiertelne mary przeszło koło nas i poznaliśmy straszliwie oszpecone ciała profesora.

Wielki książe pochylił się, popatrzył, następnie zarzucając prześcieradło na okropne szczątki mrunknął:

— Było rzeczą do przewidzenia,

że z tym starym warjatem coś podobnego musi się kiedyś przytrafić.

To była jedyna mowa pogrzebowa, jakiej się doczekał pan profesor Cyrus Beck, z uniwersytetu w Kiel.

* * *

Wracaliśmy teraz do lewego skrzydła pałacu, wielka księżna, Meluzyna i ja. Było już około szóstej. Dzień zapowiadał się upalny. Różowe, letnie słońce pokazało się nad pogorzeliškami.

Meluzyna zjawiała się przy nas zaraz w początkach pożaru. Przez cały ten czas, zajmowała się wraz z wielką księżną rannymi strażakami i żołnierzami, których przeniesiono do sali przyjęć.

Aurora szła nie wyrzekłszy słowa a my, pochłonięci własnymi myślami, szanowaliśmy jej milczenie.

Nagle podniosła głowę i z uśmiechem wskazała mi coś, na zbielełam już od upału niebie.

Lecący ze wschodu ptak mknął nad naszymi głowami. Lot jego był nierówny: wznosił się i opadał, jak przepiórka i kuropatwy, mające skrzydła za krótkie.

Zniknął na lewo w głębi ogrodu angielskiego, od strony Melny.

Następnie przeleciał drugi, trzeci, dwudziesty i wszystkie znikły w tem samem miejscu.

— Pierwsze drozdy — rzekła Aurora. — Zapadną w jarzębiny, nad Melną.

Doszliśmy już do jej apartamentów.

— Moja biedna Meluzyno — rzekła z jakimś szczególnym wyrazem twarzy — widzę, że ledwo trzymasz się na nogach. Idź, spocznij trochę. Ja pójdę do mojej zielonej altany: rozerwać się temi ptakami.

— To i ja pójdę — rzekła Meluzyna.

— Nie, nie — odparła wielka księżna — Raul Vignerte będzie mi towarzyszył. Mam z nim do pomówienia. A tobie każe, żebyś się położyła. Przyślij mi tylko fuzję i ładunki. Pożycz swoją Vignerte'owi; bo jego fuzja leży tam pod popiołami zamku.

A ponieważ, panna de Graffenried napierała się jeszcze pójść z nami:

— Odejdź! — rzekła ostro Aurora.

Meluzyna odeszła. Była istotnie napół żywa ze zmęczenia i przebytých wzruszeń.

Udaliśmy się boczną drogą by nie wystraszyć drozdów do owej naturalnej altany w zaroślach, gdzie po raz pierwszy rozmawiałem z Aurorą Lautenborską. Ponad czubami jarzębin widać było chwilami wla-

tującego drozda, który wnet uspokojony opadał na drzewo.

Gdy weszliśmy do wnętrza zarośli pomyślałem, że trzeba będzie chyba porobić coś w rodzaju strzelnic w gęstwinie, otaczającej nas jakby zielonym, zbitym murem,

Wielka księżna, zdawała się nie zwracać na to uwagi.

Przez całą drogę milczała nieprzerwanie. Wyraz silnego postanowienia zaostrzał jej rysy. Ja również nie odzywałem się. Cóż bym jej powiedział? Alboż myśli nasze w tej tragicznej godzinie nie były też same? Po cóż je zamieniać?

Nagle twarz jej straciła coś ze swej sztywności. Zaczęła mówić po cichu. Byłem po prostu oszołomiony tą dziwną przemową i nie mniej dziwną myślą przyjscia tu aby polować w takiej chwili na te ptaki, których obyczaje zaczęła mi opisywać.

Z nabitą fuzją na kolanach, ze szczególnym uśmiechem na ustach, tak szczególnym że zląkłem się, czy to noc fatalna nie podzielała zgubnie na jej umysł, mówiła:

— Drozdy. Znasz je przecież. To ptaki bardzo trudne do upolowania, pomimo przeciwnych pozorów, zdradzieckie wgłębi. Wie się, że są blisko, jak my to wiemy w tej chwili, ale się ich nie widzi. Trzeba strzelać na zgadywanego. Ja mam w tem wprawę. To też gdy ci powiem: strzelaj, wskazując ci kierunek strzelaj nie troszcząc się o cel. Pójdiesz potem zobaczyć, a ptaszek będzie na ziemi.

Zniżyła głos. Ten głos stał się świszczącym. Wyciągnawszy rękę wskazywała mi w jakiś punkt, ledwo uchwytny szelest liści w gęstwinie.

— Strzelaj — rozkazała — strzelaj, żeż!

— Kiedy — rzekłem stropiony — nie widzę dobrze...

— Niezręczny — szepnęła. — Więc to ja muszę...

Przyłożyła się i pociągnęła za cyngiel.

Dał się słyszeć wystrzał, a jednocześnie przeraźliwy krzyk. Widziałem, jak drżały jeszcze gałęzie przesyte ołowiem.

Wsparta o dymiącą lufę wielka księżna — rzekła mi z bladym uśmiechem:

— Idź zobacz...

Usłuchałem, chwielejąc się na nogach.

Za ścianą zarośli, w kałuży krwi, z twarzą literalnie zrąbaną przez ładunek ołowiu Meluzyna de Graffenfried tarzała się w drgawkach konania.

— Co za nieszczęście! — wykrzyknąłem bezdźwięcznie.

Wielka księżna przebyła zarośla. Jedno oko Meluzyny wypłynęło, drugie patrzyło na Aurorę z nieopisanym wyrazem przerażenia i bólu.

Aurora popatrzyła na nią chłodno i wyszeptała słowa Hamleta po zabiciu Polonyusza:

„Byłabym wolała, żeby to był ktoś potężniejszy!”

Meluzyna skonała w straszliwej czkawce.

Przez chwilę wielka księżna stała nieruchomo. Rysy jej przybrały wyraz nieugiętej srogości, który mnie przeraził. Spokojnie spoglądała na utkwione w niej szklane oko zmarłej.

— Wracajmy — rzekła wreszcie.

— Trzeba dać znać do pałacu o tem nowem nieszczęściu. Wyjęła mi z drżących palców lekką delikatnie blachmalowaną fuzyjkę panny de Graffenfried i położyła ją obok trupa.

Poczem oddaliła się sprężystym krokiem, dawszy mi znak abym pozostał.

Znalazłszy się sam przy zmarłej nie śmiałem spojrzeć na nią z początku. O! Boże, cóż się zrobiło z tym cudnym owalem, z tą matową cerą, z temi powłóczytymi oczyma! Jakaś krwawa masa, zmieszana z ziemią i włosami.

Obrzydlive zielone robaki kręciły się już dokoła tych żalosnych szczątków. Uciąłem gałąź leszczyny i zacząłem odganiać je, podobnie jak u nas stare, jarmarczne przekupki ciastek, odganiają muchy od swych słodkich towarów.

Wielka księżna wróciła niezadługo. Pani de Wendel i parę pałacowych dam oraz pokojówka Meluzyny przyszły wraz z nią tonąć we łzach. Ona, wciąż spokojna wydawała rozkazy. Złożono ciało Meluzyny na marach i zaniecono je do pałacu.

Dochodząc, ujrzelśmy wielkiego księcia idącego na spotkanie żalobnego orszaku.

Odwiedzał właśnie rannych w sali przyjęć, gdy powiadomiono go o nowem nieszczęściu, które dotknęło dwór Lautenbourgski.

Nadbiegł widocznie wzruszony.

Ach! pani — rzekł — ściskając rękę Aurory — jakież okropne zdarzenie.

— Przypadek miewa te fatalności — odpowiedziała wielka księżna z godną podziwu powagą.

— Ale jakże się to stało?

— Czyż ja wiem! — odpowiedziała Aurora — Tyle sobie zdaję z tego sprawę, co pan z przyczyn dzisiejszego pożaru.

Cios był prosto wymierzony; ale wielki książę ani drgnął.

— Masz pani słuszość; mniejsza o przyczyny skoro smutny sku-

tek jest aż nadto widoczny. Pozwól mi pani wyrazić ci cały mój najgłębszy żal i opłakiwać wraz z tobą, tę ogromną stratę jaką poniosłaś ze śmiercią panny de Graffenfried.

— Ogromną, istotnie — odrzekła Aurora — i dla tego to nie zwlekam z podzięką, gdyż dzięki panu strata ta nie jest całkowicie niepowetowana. Czyż byś pan powodował się smutnem przecuciem tego co się teraz stało, gdy postanowiłeś dać mi w osobie pana Vignerte drugiego powiernika?

Fryderyk August przygryzł sobie wargi. Ale odpowiedź jego była straszną.

— Wiem, pani, że cenisz wysoce usługi pana Vignerte i jestem tem zachwycony. Jeżeli jednak okropny koniec panny de Graffenfried tak mnie boli ze względu na panią, to dla tego, iż wiem, że są rzeczy, w których kobieta jest niezastąpioną.

Taki pojedynek zatrutych uprzejmości pomiędzy tym dwojgiem ludzi miał dla mnie coś przerażającego. Kessel, pan de Wendel, wszyscy inni słuchali nie domyślając się całego tragizmu tej głuchej walki. Byłem dumny a zarazem wystraszony moją nad nimi wyższością w tym względzie. Przypomniała mi się obietnica, jaką dałem panu Thierry, że nigdy nie dam się wciągnąć w prywatne sprawy monarchów Lautenbourgu.

I nie wiedziałem doprawdy, co bardziej podziwiać: straszliwą kurtuazję wielkiego księcia, czy chłodną wyniosłość wielkiej księżny. Przez chwilę lękałam się, że ohydny grot, jaki jej posłał wytrącił ją z równowagi. Ale nie; odbiła cios z większą jeszcze siłą.

— Niezastąpioną, powiedziałeś pan. To też nie w myśli, aby mógł zastąpić Meluzynę, proszę pana, byś zostawił pana Vignerte do mego wyłącznie rozporządzenia. Owszem, liczę na jego poświęcenie, abym mogła zachować jak najżywiej pamięć naszej drogiej zmarłej i wypadków tego tragicznego dnia.

I dodała:

— Pan Vignerte na skutek pożaru jest obecnie pozbawionym mieszkania. Słusznem jest i pan zapewne to uznasz, by od dzisiaj korzystał z mojej gościnności.

Wielki książę skłonił się.

— Stanie się wedle życzenia pani. Oby towarzystwo to przyniosło pani trochę ukojenia tak potrzebnego dla twego moralnego zdrowia, po tych ciężkich próbach jakimi Najwyższemu podobało się nas doświadczyć. To rzekłszy pożegnał się.

...

Dalszy ciąg nastąpi.